

Dariusz Libionka

Instytut Filozofii i Socjologii PAN/Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN

orcid.org/0000-0003-0180-6463

[centrum@holocaustresearch.pl](mailto:centrum@holocaustresearch.pl)

## Odpowiedź na recenzję

**Tomasza Domańskiego pt. *Korekta obrazu? Refleksje źródłoznawcze wokół książki „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski”, t. 1–2, red. Barbara Engelking, Jan Grabowski, Warszawa 2018 („Polish-Jewish Studies”, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2019)***

Zanim przejdę do odpowiedzi na zarzuty sformułowane przez dr. Tomasza Domańskiego, muszę dokonać krótkiej charakterystyki zawartości mojego tekstu opublikowanego w tomie *Dalej jest noc*. Jego objętość wynosi 196 stron. Dotyczy eksterminacji Żydów na terenie okupacyjnego powiatu miechowskiego (Kreis Miechów) w dystrykcie krakowskim, jednego z największych powiatów w Generalnym Gubernatorstwie. Już z tego faktu wynika, że praca badawcza wymagała poważnego wysiłku. Wstęp zawiera omówienie literatury, charakterystykę osadnictwa żydowskiego na tym terenie, w tym relacji polsko-żydowskich, wreszcie sytuacji w okresie międzywojennym. Część okupacyjna rozpoczyna się od charakterystyki lokalnych władz niemieckich i sił policyjnych, po czym następuje opis sytuacji Żydów, ze szczególnym uwzględnieniem polityki okupanta wobec społeczności żydowskiej, jej liczebności w poszczególnych ośrodkach, przesiedleń w obrębie i poza teren powiatu, prób tworzenia gett, pracy przymusowej. Osobna część dotyczy przebiegu tzw. akcji likwidacyjnych (pierwszych wysiedleń, koncentracji i kolejnych etapów wysiedleń do obozu zagłady w Bełżcu). Drobiazgowo omawiam mechanizm zagłady, niemieckich sprawców, zarówno na poziomie lokalnym, jak i dystryktowym (działania przeciwko miechowskim Żydom są częścią akcji „Reinhardt” – pod tym kryptonimem kryje się eksterminacja Żydów w Generalnym Gubernatorstwie). Starłem się dokładnie opisać przebieg akcji likwidacyjnych w każdej z kilkunastu największych miejscowości. Piszę w tym kontekście również o działaniach podejmowanych przez wprzęgnięte w mechanizm zagłady formacje złożone z Polaków: podległych żandarmerii policjantów granatowych oraz junaków ze Służby Budowlanej (Baudienst). Udział ten, co należy od razu powiedzieć, był z uwagi na lokalne uwarunkowania znaczny. Staram się dokonać szacunków liczby Żydów wywiezionych do obozów zagłady, zamordowanych na miejscu, wywiezionych do obozów pracy w dystrykcie krakowskim i poza jego granice, a także oszacować liczbę osób podejmujących próbę ucieczki zarówno na terenie Kreis Miechów, jak i na innych terenach GG i rejencji katowickiej. W każdym przypadku wskazuję na trudności związane z badaniem i opisywaniem tych zagadnień, zwłaszcza gdy chodzi o szacunki i wyliczenia.

Dalej omawiam ucieczki poza powiat oraz problemy ukrywania się na jego terenie. Uwzględniam tu m.in. oddawanie dzieci na przechowanie, próby przetrwania w partyzantce, przypadki długotrwałego i czasowego ukrywania u Polaków, w lasach, bunkrach, ukrywanie się w miasteczkach na aryjskich papierach, w majątkach ziemskich. Fragmenty dotyczące polowań na Żydów z udziałem żandarmerii, policji granatowej, strażaków, a także przypadki

wyłapywania Żydów zajmują 19 stron druku. Na kolejnych stronach piszę o represjach za pomaganie Żydom (analizuję wszystkie przypadki opisane w literaturze przedmiotu (wiele miejsca poświęcam rekonstrukcji zbrodni dokonanej na rodzinie Baranków we wsi Siedliska – to lokalny odpowiednik rodziny Ulmów; od razu dodam, że Domański w ogóle nie nawiązał do tych spraw w swoim omówieniu ani nie poinformował o moich wysiłkach swoich czytelników). Piszę wreszcie o najbardziej w moim przekonaniu tragicznych epizodach: mordowaniu Żydów, w tym kobiet i dzieci, przez członków lokalnych organizacji konspiracyjnych. Uwzględniam przy tym reakcje lokalnych struktur AK wobec prześladowców Żydów. Ostatni rozdział dotyczy sytuacji Żydów po wojnie, w tym przypadków antyżydowskiej przemocy – zaraz po Podhalu był to teren dla Żydów w województwie krakowskim najbardziej niebezpieczny. Do tekstu dołączone są aneksy zawierające dane, które udało mi się ustalić. Dotyczą one liczby ocalałych na terenie powiatu (191) i poza powiatem (96), zawierają też zestawienie osób zamordowanych podczas prób ucieczki i ukrywania (584) z podziałem na przyczyny śmierci. Wyliczenia te zostały opatrzone komentarzami, wyjaśnieniami i zastrzeżeniami.

Omawiam zakres moich badań tak szczegółowo z dwóch powodów – nie tylko dlatego że recenzent uznał to za zbędne, a wielu jego czytelników z moim tekstem się nie zapoznało, lecz dlatego że dopiero na tym tle będzie możliwe przedstawienie zakresu i celu jego „korekty”. W odniesieniu do tekstu Domańskiego używam słowa „recenzja”, choć trzeba uprzedzić, że nie jest to normalna recenzja akademicka, ale opracowanie napisane na zlecenie, mające na celu – moim zdaniem – zdyskredytowanie i ośmieszenie redaktorów i autorów tekstów, pokazanie ich jako ignorantów, hochsztaplerów i manipulatorów, a także cwaniaków, którzy sobie tylko znanymi sposobami otrzymują środki na swoją godną pożałowania, a przede wszystkim wrogą z punktu widzenia interesów państwa radosną twórczość. Domański nawet nie stara się ukryć poczucia wyższości wobec przedmiotu swoich analiz, raz po raz popada w ton mentorski. Cały czas konsekwentnie prowadzi czytelnika za rękę i uczy, jak należy naszą książkę czytać. Nie tylko punktuje błędy, lecz przede wszystkim obnaża, ocenia i stygmatyzuje. Od trzech tygodni broszura żyje własnym życiem i osiąga swój cel. Na razie w kraju, choć wkrótce ma zostać przełożona na język angielski, być może też na inne języki kongresowe, mimo że tomy *Dalej jest noc* dostępne są wyłącznie w języku polskim. Samo to pokazuje, że nie jest to sytuacja zwyczajna i mamy do czynienia z szeroko zakrojoną i sterowaną kampanią propagandową.

Nie odnoszę się w moim tekście do całości wywodów autora *Korekty obrazu?* na temat zawartości tomów *Dalej jest noc*, gdyż nie jestem jego redaktorem, ani do tekstów innych autorów, lecz wyłącznie do licznych opinii i połączonych wygłoszanych pod moim adresem. Recenzent zarzucił mi przekłamania, fałszerstwa, manipulacje, nierzetelność, podpierając swoje wywody kilkunastoma przykładami. Czytelnik jego opracowania, a przede wszystkim odbiorca dowiadujący się o nim z drugiej ręki, zazwyczaj w formie sensacyjnej, może odnieść wrażenie, że problem jest niezwykle poważny. Domański zapomniał, czy też zwyczajnie mu się nie chciało, przedstawić autorów tekstów. Nie napisał, kim są, co opublikowali, gdzie pracują itp., tak jak to się robi zwyczajowo w recenzjach. Napisał natomiast, skąd otrzymali dofinansowanie (s. 3–4).

Zarzuty Domańskiego pod moim adresem nie zostały przedstawione w sposób usystematyzowany. Nie odnosi się on do żadnej z moich tez, do żadnej interpretacji, nie

polemizuje z szacunkami/liczbami. Uważa, że nie ma takiej potrzeby z powodu rzekomej przypadkowości zaprezentowanych danych. Do „wyliczeń własnych” przedstawianych w tabelach podchodzi z pogardą, uznając je za całkowicie bezwartościowe. Sformułowane pod moim adresem zarzuty można podzielić na te natury generalnej i szczegółowej, przy czym tym drugim zwykle nadaje się mniejszą rangę. Domański wybrał inną drogę: epatowanie czytelnika liczbą moich przestępstw, które traktowane są jedną miarą. Nie ma grzechów ciężkich i lekkich. Są tylko te pierwsze. Niektóre oceny recenzenta zostały w tekście wytłuszczone, co przywodzi mi na myśl osławione paski w TVP Info. Czytelnik nie musi zapoznawać się z całością skomplikowanych wywodów. Najważniejsze, by dotarł do niego właściwy przekaz: autor jest niekompetentny i kłamie. A jeśli ten autor kłamie, to cała książka jest pełna kłamstw. Co równie symptomatyczne, recenzent nie odnosi się do całego tekstu, lecz tylko do jego fragmentów. Tak jest również w wypadku innych autorów. Czy jest to przypadek, czy też przemyślana strategia „grillowania” autorów, a może bardziej środek do podsycańca emocji i mobilizacji własnego zaplecza czy wreszcie sposób na przypominanie o swoim znaczeniu, tego nie wiem.

Spróbuję zatem wyręczyć Domańskiego i dokonać systematyzacji jego wywodów. Twierdzi on, że recenzja odnosi się do całej książki, ale ze szczególnym uwzględnieniem powiatów łukowskiego, złoczowskiego i miechowskiego (s. 3, przypis 2). A jak jest w rzeczywistości? Jak wspominałem wcześniej, nie pisze o moim tekście, lecz zaledwie o jego części i tylko niektórych wątkach. Innych nie omawia, uzasadniając to brakiem miejsca, co może dziwić w przypadku tekstu liczącego 70 stron drobnego druku. Zamiast pisać o wszystkim w sposób chaotyczny i niespójny, Domański powinien był się raczej skupić na zrealizowaniu planu minimum, tj. przedstawieniu założeń książki i rzeczowym omówieniu trzech tekstów poświęconych wymienionym wcześniej powiatom.

Zarzuty natury generalnej dotyczą w pierwszej kolejności traktowania źródeł. Już pierwsze moje pojawienie się na kartach *Korekty obrazu?* jest mocne: „Przykładem aż nadto swobodnego podejścia do źródeł związanych z tym okresem – ogłasza Domański – są stwierdzenia Libionki o zajściach antysemitycznych towarzyszących odzyskiwaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r., czego egzemplifikacją czyni ówczesne wydarzenia w Działoszycach” (s. 9). Ja tymczasem napisałem, że w tym okresie na Kielecczyźnie wybuchały zajścia antyżydowskie i dochodziło do napadów na Żydów. W przypadku Działoszyc piszę o napadzie rabunkowym dokonany przez uzbrojoną grupę, która przyjechała do tego miasteczka. Opisany przeze mnie incydent w Działoszycach z całą pewnością nie jest egzemplifikacją sytuacji na Kielecczyźnie. Odnotowałem go, ponieważ doszło do niego na interesującym mnie obszarze. O jakim „swobodnym podejściu do źródeł” mowa? Tego rodzaju nierzetelnych opinii, a ta o „swobodnym traktowaniu” jest w miarę stonowana, można tam znaleźć więcej.

Kolejne zarzuty generalne dotyczą niewłaściwego sposobu przedstawiania Policji Polskiej i Służby Budowlanej (Baudienst): „Dariusz Libionka – cytuję recenzenta – potrafi użyć sformułowań typu: «kolumna otoczona przez funkcjonariuszy polskiej i niemieckiej policji», jakby chodziło o zgodną współpracę służb dwóch państw”. I dalej: „Autor w wielu miejscach opisuje działania realizowane przez żandarmerię i policję granatową tak, jakby były to dwie równorzędne, partnerskie formacje, tak, jakby nie było pełnej podległości «granatowych» żandarmom niemieckim” (s. 11). Tej sprawie poświęca kielecki badacz wiele

miejsca, sugerując, że albo nie mam podstawowej wiedzy na temat funkcjonowania policji w GG, albo – co gorsza – zamierzam wprowadzić w błąd nieświadomego czytelnika. Tymczasem w tekście naukowym, w dodatku opublikowanym w tomie zbiorowym, nie trzeba za każdym razem powtarzać kwestii oczywistych, przecież nikt przy zdrowych zmysłach i z podstawową znajomością okupacyjnych realiów nie będzie starał się dowodzić tezy o samodzielności Policji Polskiej w odniesieniu do jakichkolwiek podejmowanych przez nią czynności (co nie wyklucza działań funkcjonariuszy dokonywanych na własną rękę). Inna sprawa, że w dalszych partiach tekstu piszę wielokrotnie o niemieckim nadzorze nad policją granatową, polityce awansowej, aresztowaniu oficerów komendy w Miechowie za niedopełnianie obowiązków, losach pierwszego komendanta PP, represjach wobec szeregowych policjantów, z karaniem śmiercią włącznie (tak stało się w wypadku obsady posterunku PP w Żarnowcu), a zarazem o działaniach miechowskiego Jagdkommando. W jednym przypadku omawiam sposób mobilizowania policjantów z kilku posterunków do udziału w tzw. akcji wysiedleńczej.

Podobnie jest w odniesieniu do Baudienstu (s. 13). Domański perswaduje czytelnikowi, że pominięcie ogólnej charakterystyki Baudienstu jest przemyślanym elementem mojej „metody” i że traktuję tę formację jako autonomiczną. Powtarzam, nie piszę historii Baudienstu, podobnie jak nie piszę historii policji granatowej (ta jest opisana, odsyłam w przypisie do opracowań, można też skorzystać z Wikipedii), lecz skupiam się wyłącznie na działaniach grupy miechowskiej (nr 102) w kontekście akcji likwidacyjnych na interesującym mnie terenie. Co do „suwerenności” tej formacji: cytuję artykuł na temat wykorzystywania Baudienstu zamieszczony w „Małopolskim Biuletynie Informacyjnym” z 10 września 1942 r. (napisany tuż po pierwszej fazie akcji wysiedleńczych w Miechowskiem), relację Ludwika Hirszfelda z rozmowy z jednym z junaków, a wreszcie omawiam próbę interwencji arcybiskupa Adama Sapiehy u Hansa Franka w sprawie wykorzystywania junaków przez Niemców w akcjach antyżydowskich. Piszę też, że nie wiadomo, kto zdecydował o włączeniu miechowskiej grupy Baudienstu w mechanizm zagłady na tym terenie. Podaję wreszcie sprawozdania finansowe i wpłaty na konto Wydziału Wewnętrzznego Rządu GG z tytułu „pracy” wykonanej przez miechowskich junaków. Jak to wszystko się ma do „samodzielności” tej formacji?

Recenzent przypuszcza kolejną szarżę: „u Libionki występują konstrukcje słowne, które pozornie tylko oddają stan faktyczny, a w rzeczywistości znamionują dość swobodne podejście do analizowanych źródeł” (s. 14). Chodzi o mój opis akcji wysiedleńczej w Skale. Powołuję się na zeznania składane w śledztwie dotyczącym jednego z junaków biorących udział w akcji. Mowa w nich o działaniach całej formacji nie tylko w Skale, lecz także w kilku miejscowościach regionu na przełomie sierpnia i września 1942 r. Domański zdaje się nie rozumieć, że sąd badający sprawę owego junaka nie zajmował się oceną działalności całej formacji latem i jesienią 1942 r., ale jednego jej członka postawionego w stan oskarżenia, a to zasadnicza różnica. Z uwagi na sprzeczności w zeznaniach sąd musiał uznać ich słabą wartość dowodową. Gdybym wziął za dobrą monetę cytowane przez recenzenta fragmenty zeznania Romana Kowalskiego, że to oskarżony junak z własnej inicjatywy organizował akcję, to co innego, ale tego nie robię i nawet tych wywodów nie przytaczam.

Domański zauważa dalej: „wśród tysięcy junaków mogły się znaleźć jednostki patologiczne bądź starające się gorliwością zasłużyć na względy u Niemców” (s. 14).

Oczywiście stopień gorliwości junaków, podobnie jak policjantów granatowych, był różny. Ja jednak opisuję działania całej formacji wykonującej wydane jej rozkazy. Czy uniewinnienie jednego junaka (w drugiej instancji został skazany na rok więzienia) ma decydować o rezygnacji z badania działań tej formacji? Dlaczego zatem arcybiskup Sapięha pisał w swym memoriale złożonym 2 listopada 1942 r. u Franka o wykorzystywaniu Baudienstu w akcjach antyżydowskich? Przesadzał? Podobnie jak „Małopolski Biuletyn Informacyjny” alarmujący o tych sprawach?

Zarzut ten powtarza się jeszcze raz w doniesieniu do Działoszyc: „z opisu Libionki można by wnioskować, że [junacy] stanowili samodzielną i nikomu nie podporządkowaną siłę” (s. 58). Jak mogli stanowić „niepodporządkowaną nikomu siłę”, skoro przywieziono ich tym samym transportem (kolej wąskotorowa) co Niemców w przededniu deportacji? Co więcej, w Działoszycach byli tego dnia, 3 września 1942 r., wszyscy najważniejsi niemieccy funkcjonariusze struktur lokalnych oraz funkcjonariusze z Krakowa. Stwierdziłem w swoim tekście: „W powojennym kwestionariuszu podano informację o 1500 ofiar [egzekucji], wskazując na sprawstwo Gestapo i żandarmerii. Wymieniono nazwiska Beyerleina [szef placówki Policji Bezpieczeństwa], Riedingera i Karla [szef Kripo i jego zastępca] z Miechowa, a także bliżej nieznanego oberleutnanta Kommoda z Krakowa. Mimo wielu śledztw nie udało się ustalić jednostki żandarmerii przybyłej tego dnia z Krakowa, z której rekrutowały się komanda egzekucyjne. Nie jest wykluczone, że byli to funkcjonariusze stacjonującego w Krakowie 65 Batalionu Policji” (*Dalej jest noc*, t. 2, s. 79). Na miejscu znalazł się też szef referatu żydowskiego w krakowskim Gestapo Wilhelm Kunde. Wyraźnie wykazałem tym samym, że junacy nie byli samodzielną i nikomu niepodporządkowaną siłą. Jak Domański mógł tego nie zauważyć?

Ekspozowanie roli Baudienstu i policji granatowej ma zdaniem recenzenta na celu tuszowanie przeze mnie roli rzeczywistych sprawców. Tymczasem o mechanizmie zagłady w pierwszej fazie akcji wysiedleńczych piszę m.in.: „Poszczególnymi akcjami kierowali oficerowie Gestapo i Kripo oraz dowódcy lokalnych posterunków żandarmerii. Mieli oni pod swoją komendą kilkudziesięciu żandarmów, przynajmniej kilkunastu członków Sonderdienstu, około trzystu policjantów granatowych oraz kilkuset junaków”. Przedstawiam wdrażanie w życie scenariusza realizowanego na całym obszarze GG. Nie ukrywam udziału Niemców, przeciwnie, wiele miejsca poświęcam kierującemu wysiedleniami oficerowi miejscowej placówki Policji Bezpieczeństwa Martinowi F. Beyerleinowi, a także poszczególnym żandarmom. Staram się zidentyfikować komanda egzekucyjne. Otwarcie przyznaję zresztą, iż jednym z moich celów było opisanie niemieckich sił okupacyjnych na tym terenie, zwłaszcza że część żandarmów pochodziła z moich rodzinnych stron.

Rzekomemu tuszowaniu przeze mnie roli Niemców mają też służyć manipulacje źródłami. Pierwszym takim przypadkiem jest według recenzenta relacja Meira Goldsteina dotycząca prześladowań Żydów jesienią 1939 r. (s. 37-38). Z mego streszczenia fragmentu relacji Goldsteina wypadło słowo „Niemcy” oraz informacja, że niektórzy Polacy dawali Żydom trochę wody. Nieuprzedzony do autora recenzent, zauważając to, napisałby o tym bez emocji. Tymczasem Domański uznał, że znalazł dowód pozwalający zdemaskować „metody” autora. W świecie Domańskiego nie istnieją pomyłki, błędy, brak staranności. Każdemu działaniu i zaniechaniu musi towarzyszyć perfidny zamysł. Takich przypadków

interpretowania pomyłek i przeoczeń w kategoriach spiskowych jest więcej. Powrócę jeszcze do tej sprawy.

Kolejnym dowodem dokonywanych jakoby przeze mnie manipulacji mających na celu tuszowanie roli Niemców ma być sposób traktowania relacji dotyczącej rewizji u jednego z późniejszych Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, Kisiela. Napisałem, że uczestniczyli w niej policjanci granatowi i żandarmi, podczas gdy w podanych w przypisie relacjach zweryfikowanych przez recenzenta policjanci granatowi się nie pojawiają. „Nie jest w nauce przyjęte, aby w ten sposób «uzupełniać» zapisy źródłowe” – grzmi Domański (s. 46). W gminie Kozłów, gdzie wspomniany Polak mieszkał, nie było posterunku żandarmerii. Posterunki takie znajdowały się jedynie w Kazimierzy Wielkiej, Miechowie i Wolbromiu. Istniał na tym terenie wyłącznie posterunek policji granatowej, na którym od połowy 1943 r. pracowało też dwóch żandarmów. Ponadto szalało w tym rejonie osławione Jagdkommando, na którego czele stał niemiecki żandarm, składało się zaś z najbardziej gorliwych polskich funkcjonariuszy. Sam Kiesel mówi w swojej relacji: „Najbliższy posterunek policji polskiej i niemieckiej był w Kozłowie. [...] były u mnie rewizje. Szukali u mnie dwa razy policjanci niemieccy, ale niczego nie znaleźli”. Moją intencją nie było poprawianie źródeł. Relacja Kisiela, podobnie jak większość relacji z zespołu 301 w ŻIH, została spisana przez protokolanta i nie sposób ich treści traktować dosłownie. Mogłem odnotować w przypisie, że w rewizji mogli uczestniczyć granatowi, podać cytat albo w ogóle o tym nie pisać, gdyż jest to sprawa dla opisywanej przeze mnie historii całkowicie nieistotna. Na szczęście kryjówka nie została odnaleziona i nikt nie ucierpiał.

Kolejny zarzut generalny dotyczy pomijania przez autorów roli Kościoła (s. 17). W przypisie znalazła się informacja, że zajmuje się tym tylko Libionka, „w odniesieniu do powiatu miechowskiego (diecezja kielecka), zwłaszcza w okresie dwudziestolecia międzywojennego, akcentując jedynie kwestie antysemityzmu”. Już choćby zasygnalizowana przeze mnie interwencja arcybiskupa Sapiehy u Franka świadczy o tym, że jest to zarzut z gruntu nieprawdziwy. Ponadto kilkakrotnie odnotowywałem pomoc ze strony księży, pisałem o konwertytach, o chrztach Żydów, o niemieckim konfidentzie donoszącym na księdza udzielającego chrztów. Jeśli istnieją jakieś nieznanne mi materiały na ten temat, czego nie wykluczam, proszę o sugestie. Pisałem też o zeznaniach księdza ze Słomnik składanych podczas rozprawy sądowej w charakterze świadka obrony. Takich zeznań jest nieco więcej. Biorąc pod uwagę moją „metodę”, tak „starannie” opisaną przez Domańskiego, zastanawiam się nad przyczynami nieuwzględnienia przeze mnie fragmentu listu pasterskiego biskupa Czesława Kaczmarka z wiosny 1941 z opinią na temat wpływu dzieci żydowskich na chrześcijańskie, który z pewnością został odczytany we wszystkich kościołach Kreis Miechów, i nieprzeprowadzeniem rozważań nad jego wpływem na parafian.

Kolejny problem to sposób wykorzystywania przeze mnie powojennych materiałów śledczych i procesowych. Domański stwierdza: „Czytelnik nie pozna prawdy o horrorze tamtych czasów, kiedy otrzymuje do wiadomości fakty prawdziwe, jednak oderwane od całego ciągu wzajemnie współzależnych zdarzeń”. I dalej: „Libionka dokonał uproszczeń, które odrywają nas od prawdziwie tragicznych sytuacji wytworzonych przez nieludzkie przepisy odmawiające części społeczności prawa do życia”. Píše jeszcze o „niepoważnym potraktowaniu czytelników” i „spłycaaniu” (s. 38–39). Chodzi o sprawę zabójstwa Jankiela Libermana we wsi Rogów w lutym 1944 r., która absorbowwała już wcześniej dr. Piotra

Gontarczyka (*Śmierć Jankiela Libermana, czyli o pewnej antycznej tragedii na polskiej prowincji w czasie II wojny światowej*, „Sieci”, 12 XI 2018, nr 46). Zarzut Domańskiego, który wiernie podąża za Gontarczykiem, dotyczy pominięcia przeze mnie „szerszego kontekstu” sprawy. Rzeczywiście, pomiąłem ten kontekst, a ściślej wyjaśnienia, jakie pojawiły się w zeznaniach oskarżonych i świadków złożonych w tej sprawie. Napisałem tylko, że nieszczęsny Jankiel został zamordowany przez ukrywającego go gospodarza zmuszonego do tego przez sołtysa, który naszedł na jego dom z kilkoma sąsiadami. Zdaniem surowego recenzenta powinienem był podać do wiadomości czytelnika, że w tej samej gminie Niemcy zamordowali w następstwie pomocy udzielanej Żydom kilkunastu Polaków, których wskazał jeden z ukrywanych. Piszę o tym w innym miejscu, lecz Domański z tego właśnie czyni mi zarzut główny. Powinienem dostrzec ciąg przyczynowo-skutkowy: szantażujący pomagającego Polaka i zmuszający go do zbrodni dobrzy ludzie działali w imię dobra całej społeczności i bezpieczeństwa swoich rodzin, gdyż Jankiel stwarzał niebezpieczeństwo i jego wykrycie mogło mieć tragiczne konsekwencje dla wszystkich. Domański pisze o panice, jaka opanowała miejscowych Polaków. Problem w tym, że od mordów dokonanych na Polakach podejrzanych o pomaganie Żydom w pobliskich wsiach do zamordowania Jankiela upłynął rok, a przyczyną podjęcia poszukiwań Żyda nie były psychoza i strach przed wiszącymi nad wsią represjami, lecz donos (Liberman krążył po okolicy i ktoś zauważył, gdzie się chroni).

Myliłby się ktoś, kto by pomyślał, że „szerszy kontekst” został odkryty w następstwie analizy okupacyjnych realiów w tym regionie przeprowadzonej przez historyków z IPN, gdyż jest on przedstawiony w zeznaniach wielu uczestników zarządzonych przez sołtysa poszukiwań Żydów, w tym także postawionych przed sądem oskarżonych Polaków. Z większości zeznań wynikało, że represje za ukrywanie Żydów nastąpiły bezpośrednio przed akcją poszukiwawczą w Rogowie, co nie było prawdą. Domański o tym wie, zresztą z mojego tekstu, lecz nie wyciąga z tego żadnych wniosków. Ma już przecież gotową tezę, zapożyczoną z sentencji wyroku Sądu Okręgowego w Krakowie (18 grudnia 1947 r.). Jak często w takich przypadkach, oskarżeni obarczali winą osobę, która już nie żyła. W tym wypadku osobą tą był sołtys, który zarządził poszukiwania Żydów i niewątpliwie odegrał w tych tragicznych wydarzeniach rolę kluczową. Inna sprawa, że można było zrzucić na niego pełnię odpowiedzialności za wszczęcie akcji, zmobilizowanie gospodarzy, strauumatyzowanie i zmuszenie ukrywającego Polaka do morderstwa. Inaczej sprawę przedstawia Domański, który chce rozmyć odpowiedzialność za zabójstwo i odciążyć tym samym rzeczywistych sprawców, w tym nawet inicjatora akcji, nadgorliwego sołtysa (jeden z uczestników cytował jego słowa: „kto Żyda trzymał, niech go teraz zabije”, żona tego Polaka zeznała zaś, że sołtys straszył oddaniem jej męża Gestapo). W imię czego? Za główną przyczynę zamordowania Libermana Domański uznaje warunki, jakie wytworzyli Niemcy, „piekielne zapętlenia”. Psychologia społeczna wiele mówi o mechanizmach przemocy, niemniej to nie warunki zabijają. W materiałach źródłowych występują przykłady szykan spadających na Polaków ukrywających Żydów ze strony sąsiadów i samozwańczych rzeczników lokalnych społeczności. Groźby, ciężkie pobicia, ostracyzm. Zdarzają się też przykłady morderstw. Swego czasu opisałem przypadek, gdy członkowie zbrojnej konspiracji (tak się złożyło, że z NSZ) grozili zakopaniem ciał zamordowanych przez siebie ofiar w domu pomagających Polaków. Ostatecznie nie zrobili tego, lecz małżeństwo

ukrywające Żydów trafiło do więzienia, a mężczyzna zmarł w obozie koncentracyjnym na Majdanku. Tutaj zmuszenie Polaka do zabicia Żyda, przedwojennego sąsiada, jest czynem szczególnie przerażającym i odrażającym. Trudno zaprezentowaną przez Domańskiego wykładnię, że sprawcy najścia na gospodarstwo w Rogowie, w tym jak rozumiem ten, który podówczas „już nie żył”, działali w obronie własnej i swoich rodzin, uznać za coś innego niż przykład skrajnej banalizacji problemu. Nie dostrzega on tragedii Polaka, ojca wielodzietnej rodziny przymuszonego do dokonania morderstwa. W moim tekście w ogóle nie zajmowałem się trybem rozpatrywania tej sprawy przez powojenne sądy i analizą wyroków (sądzono dwóch uczestników najścia i jego ofiarę), wymagałoby to bowiem więcej miejsca. Mogę przyjmować różne zarzuty, ale nie to, że w mojej narracji stawiam znak równości między będącym ofiarą gospodarzem z Rogowa a jego prześladowcami, co czyniły zarówno sądy, jak i czyni obecnie recenzent Domański. Inaczej sprawę widzi Gontarczyk, lecz w polemicznym zapale traci z pola widzenia istotę problemu i zarzuca mi coś, czego nie głosiłem: postrzeganie Polaka zmuszonego do zamordowania Żyda jako „wolontariusza”, a także, czy może przede wszystkim, formułowanie na podstawie tego przykładu generalnego oskarżenia polskich chłopów o „mordowanie po wsiach Żydów z własnej inicjatywy”. Więcej na ten temat napisała Barbara Engelking (*Jest taki piękny słoneczny dzień... Losy Żydów szukających ratunku na wsi polskiej 1942–1945*, Warszawa 2011, s. 218), którą jednak Piotr Gontarczyk traktuje w swoim tekście niezwykle surowo.

Podam jeszcze dwa tego rodzaju przypadki: Domański zarzuca mi, że opisując sprawę zadenuncjowania Wahadłowskiego (s. 40–41), potraktowałem temat skrótowo, a co gorsza – napisałem o winie Polaka (denuncjacja), gdy tymczasem został uniewinniony wyrokiem Sądu Powiatowego w Miechowie z 1953 r., w którym wskazano winę kogoś innego. Istotnie mogłem ten ciekawy przypadek omówić szerzej. Podobnie jak wiele kolejnych, mój tekst ma jednak ograniczoną objętość. Zresztą nawet gdybym to zrobił, recenzent znalazłby inny przykład zbyt skrótowego potraktowania tematu. W kwestii jednostkowej odpowiedzialności również mam inne zdanie niż recenzent. Zdaje się on nie rozumieć, że ustalenia sądu nie muszą się pokrywać z ustaleniami historyka. Niezależny sąd, by kogoś skazać, musi mieć niezbite dowody winy. W innym przypadku zmuszony jest uniewinnić oskarżonego. Gdyby Domański miał większą praktykę w analizie spraw sądowych dotyczących okresu okupacji, wiedziałby, jak ta materia jest skomplikowana. Oskarżeni i świadkowie wielokrotnie zmieniali zeznania zarówno w śledztwie, jak i podczas rozpraw przez kolejnymi instancjami. Często brakuje niezbitych dowodów, z punktu widzenia sądu kluczowych. W opisywanym przypadku oskarżony najpierw przyznał się do winy, potem zmienił zeznanie, tłumacząc, że został zastraszonej przez funkcjonariusza MO na posterunku w Jaksicach. Prokurator uznał to za wykręty, gdyż o jego winie zaświadczyło dwóch świadków (jeden z nich był obecny, gdy do gospodarstwa oskarżonego przyszli policjanci granatowi). Kolejny świadek, sołtys, zeznał, że granatowi powiedzieli mu o denuncjacji podczas zorganizowanego po „likwidacji” ofiary zakrapianego alkoholem poczęstunku u denuncjatora. Później jednak wszyscy zmienili zeznania. Sąd, jeśli jest niezależny, musi brać to pod uwagę. Niemniej zgadzam się, że informację o uniewinnieniu można było podać w przypisie albo opisać sprawę bardziej szczegółowo. Pojawia się tu jeszcze inny problem: jeśli w kontekście żydowskim zapada uniewinniający wyrok, z punktu widzenia niektórych historyków sąd nagle przestaje być narzędziem stalinowskiej opresji wobec Polaków.

Podobnie przebiegła sprawa zadenuncjowania Estery Zylberband w Skalbmierzu (s. 41). Również w tym przypadku sąd uniewinnił dwie osoby, które wskazałem jako denuncjatorów. Sugeruję, by raz jeszcze przeczytać zeznania świadków, w których sprawa przedstawiana jest w sposób jednoznaczny.

Po raz kolejny recenzent stawia mi zarzut nierzetelności przy opisie sprawy ukrywania przez Magdę Kozioł ze Skalbmierza rodziny Wolgelernterów i innych Żydów (s. 42). Ta dzielna Polka ukrywała przez wiele miesięcy dwie grupy Żydów, w tym wspomnianą przed chwilą Zylberband i jej synów. Była też świadkiem w śledztwie przeciwko osobom oskarżonym o donosicielstwo. Na podstawie dziennika jednego z ukrywanych, Chaima Icchaka Wolgelerntera, stwierdziłem: „Otrzymywali coraz gorsze jedzenie, mimo że musieli za nie słono płacić, a wreszcie z dnia na dzień wymówiono im kryjówkę”. Oparłem się na dzienniku (pisanym zresztą na strychu u pani Kozioł), a nie na powojennym liście jego brata Dawida, w którym jest mowa o bezinteresowności Polki. Domański grzmi: „Komentarz do takiego sposobu wykorzystania dostępnych autorowi źródeł wydaje się zbędny”. Najwyraźniej jednak nie przeczytał tekstu w skupieniu. Cytowany przez niego fragment dotyczył losów członków rodziny Wolgelernterów. Podałem, że u pani Kozioł pojawił się najpierw (jesienią 1942 r.) Dawid ze swoim bratem Meirem, a dopiero w lutym 1943 r. dołączył Chaim Icchak ze swoją grupą. Opisywałem sytuację z punktu widzenia Chaima Icchaka i jego grupy, która posiadała środki na życie i za wszystko płaciła. Stało się to zresztą przyczyną ich śmierci. Osiem osób zostało zamordowanych przez „nieznanych sprawców” we wsi Dębowiec, o czym Domański już czytelników swojej recenzji nie informuje. A szkoda, gdyż w kieleckim archiwum IPN znajdują się dokumenty zawierające poszlaki na ten temat. Nie natrafił na nie, mimo że przez wiele miesięcy, w dodatku z liczną grupą pomocników, dekonstruował teksty z tomu *Dalej jest noc*.

Inny generalny zarzut powracający w narracji recenzenta to pomniejszanie zasług Polaków i przedstawianie ich w złym świetle. Była już o tym mowa przy okazji pani Kozioł. Domański zarzuca mi, że pomiąłem ważny fragment z dziennika Wolgelerntera o chłopach chętnie pomagających Żydom i współczującym im po pierwszej akcji wysiedleńczej (s. 49). Napisałem w tym kontekście: „Nie byli wyjątkami. W okolicznych wsiach, np. w Świerczynie, ukrywało się kilkudziesięciu Żydów, którzy z czasem rozproszyli się w okolicy, a część podążyła w stronę Krakowa. Grupa Chaima Icchaka znalazła schronienie w Szyszczycach. Początkowo chłopcy pełni byli życzliwości, z czasem jednak zaczęli się niecierpliwie”. Stwierdzenie o „współczującym nastawieniu” jest może nazbyt skrótowe, mogłem podać większy fragment. Odrzucam jednak twierdzenie, że chciałem coś ukryć, zwłaszcza że dziennik ten był opublikowany drukiem i nie stanowi żadnej tajemnicy. Inna sprawa, że zarówno w tym miejscu, jak i przy innych skrótach brałem pod uwagę znaczące rozszerzenie tekstu w niedalekiej przyszłości. Znajdą się tam też passusy, z których musiałem zrezygnować ze względu na brak miejsca.

Sposób przedstawiania tej sprawy przez Domańskiego pokazuje jego inkwizytorskie zapędy i wykorzystywanie wszystkiego, co może pogrążyć autora. Oto trzy charakterystyczne przypadki. Pierwszy dotyczy zamordowania trojga Żydów ukrywających się w jaskiniach w okolicach Skały. Domański długo rozwodzi się nad pominięciem szerszego kontekstu zdarzenia. Chodzi o to, że policja i żandarmeria zainteresowały się tym obszarem po napadzie na wójta. Libionka „opowiada o tej akcji, jakby z założenia była ukierunkowana

na prześladowania Żydów” (s. 46). Tymczasem nie wchodząc w szczegóły, napisałem, że w akcji brało udział dwóch żandarmów i czterech policjantów granatowych: „Granatowi zostali zawiadomieni przez dzieci, które zobaczyły kilka ukrywających się osób”. Osób, nie Żydów. Nie dodałem, że w dwóch zeznaniach wskazano jako na sprawcę żandarma Eiglera. Zacytowałem relację księdza Dobieckiego, który mówił o „policji”. Recenzent preferuje relację, w której sprawcą jest Niemiec. Nie rozstrzygam tego. Ma to zresztą znaczenie drugorzędne. Dla ścisłości: o Eiglerze i jego zbrodniach piszę obszernie na tej samej stronie, a także w innych miejscach tekstu. Jest to jeden z volksdeutschów z mojego rodzinnego miasta służący w szeregach żandarmerii w Miechowie. Niestety, mimo poszukiwań nie udało się go odnaleźć i postawić przed sądem. Domański też nie wspomniał przy tej okazji, że ksiądz Dobiecki, składając relację, zastrzegł na wszelki wypadek niepodawanie jego nazwiska. Ciekawe dlaczego? Czyżby mówienie o zbrodniach na Żydach z udziałem policji granatowej było źle widziane?

Bardziej drastyczny przypadek inkwizytorskich zapędów recenzenta dotyczy pomocy z udziałem księdza (s. 51). Napisałem o pewnej rodzinie: „ukryła się na plebanii”, a potem ksiądz dał jednemu z Żydów metrykę. Powinienem być zacytować słowa z relacji ocalałego: „ksiądz nas ukrył”. Fraza ta została wytłuszczona w celu podkreślenia mojej „metody”. „Czyli ksiądz wprawdzie pomaga – klaruje Domański czytelnikowi – ale o tym, że to on ich świadomie ukrył na strychu («większa polska sprawczość»)”, mowy już nie ma. Trudno to inaczej skomentować niż uprzedzeniem recenzenta. Nie wpadłbym na to, że moim celem jest ukrycie polskiej sprawczości.

W dwóch przypadkach Domański ma rację (*ibidem*). Pisząc o pomocy w ucieczce udzielonej konwertycie Andrzejowi Zielskiemu przez komendanta posterunku PP w Działoszycach, użyłem słowa „podobno”. Z cytowanych przeze mnie źródeł wynika, że nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Nie zweryfikowałem tego zapisu. Historię Zielskiego przedstawiłem dokładnie w części poświęconej powojennym procesom policjantów granatowych, która ostatecznie z powodu objętości nie weszła do mojego opracowania, a znalazł się tam szczegółowy opis toczących się w latach 1948–1960 śledztw i procesów Sałabuna. Błędnie zacytowałem też relację Anny Mekler. Stwierdziłem, że nie miała się gdzie podziać i musiała wrócić do rodziców. Ona sama mówiła jednak, że wróciła do rodzinnego domu, powodowana tęsknotą za rodzicami. W tym przypadku moje „streszczenie” jest rzeczywiście kompletnym nieporozumieniem, gdyż pomyliłem w dodatku Rabkę z Makowem Podhalańskim. Na szczęście recenzent tego nie zauważył i nie zarzucił mi szkalowania jego mieszkańców z powodu obojętności na los Żydów. W obu przypadkach nie było moją intencją wprowadzanie w błąd czytelnika. Po prostu nie zweryfikowałem tych zapisów, gdy streszczałem je z pamięci.

Ostatnią grupę stanowią zarzuty o pomijanie roli judenratów i policji żydowskiej. Wspominałem już o pominięciu przeze mnie ważnego świadectwa Wolgelerntera. Recenzent zarzuca mi, że oparłem się wyłącznie na relacji Goldsteina (s. 56). Tak było, lecz nie dotyczyło okresu eksterminacji. Nieodniesienie się do zapisu z dziennika Wolgelerntera było rzeczywiście niefortunne, nie wynikało to jednak z jakiejś strategii. Przyjrzę się raz jeszcze pod tym kątem sytuacji w Działoszycach i Wolbromiu w rozbudowanej wersji tekstu. W odniesieniu do pierwszego z tych przypadków recenzent pisze o stosowanych przeze mnie „zabiegach”. W odniesieniu do Wolbromia (s. 60) nie zauważa, że jednym z głównych

świadków jest ówczesny policjant granatowy, który cały czas był na miejscu. To od niego pochodzą opisy rabunków i szabru. Co się tyczy roli judenratu w Wolbromiu, Domański gani mnie, że przemilczałem, iż to Judenrat wydał ludziom polecenie zebrania się na rynku, stając się tym samym „uczestnikiem kreowanych przez Niemców wydarzeń”. „Jedynym logicznym wyjaśnieniem [mojego pominięcia wzmianki o judenracie – D.L.] to chęć ukrycia pośredniej roli judenratów w zgromadzeniu Żydów”. Nie wiem, co o tym myśleć, gdyż zdanie to z jednej strony świadczy o determinacji w poszukiwaniu uchybień, z drugiej zaś jest wyważaniem otwartych drzwi. Wszak rolą judenratów było właśnie wykonywanie niemieckich zarządzeń. Po to zostały powołane. Odsyłam do bogatej literatury przedmiotu, a nawet Wikipedii. Podobnie jest w przypadku wywiezienia 600 Żydów z Miechowa do Słomnik. Listę sporządził naturalnie tamtejszy Judenrat. Domański pisze, że „z tekstu Libionki zniknął również sens skargi, jaką na «p. Ickowicza z Judenratu w Miechowie» napisał Berek Finkelstein” (s. 61). Sens może zniknąć, ale wyłącznie dla recenzenta. Czytelnik, do którego kierowana jest książka, doskonale wie, o co chodzi. Działania miechowskiego Judenratu nie różniły się od innych, podobnie jak reakcje ludności, zwłaszcza tych, którym zabrano krewnych, były jednoznaczne: czuli się oszukani i przepełniała ich wściekłość. Napisałem, że nie wiem, gdzie Ickowicz przeżył. Próbowałem go szukać i na pewne tropy natrafiłem, gdyż z punktu widzenia dalszych badań interesują mnie losy członków judenratów. Okazuje się, że w ukryciu przeżyło ich tylko kilku. Jeszcze mniej żydowskich policjantów.

Kolejne powody do piętnowania dotyczą zwięzłości stylu. O wielu sprawach zdaniem recenzenta napisałem za mało, a przede wszystkim nie tak, jak należy. Tak miało być w przypadku oddawania dzieci na przechowanie. Domański po znalezieniu w cytowanej przeze mnie relacji szczegółów, których nie ma w teście, załamuje ręce: „Czy naprawdę nie było w zasięgu możliwości autora pogłębienie tego tematu?” (s. 51). Ten sam zarzut pada w odniesieniu do ukrywania braci Federmanów. Recenzent przywołuje też dwa inne zdarzenia (s. 53–54). Owszem, mogłem napisać o wiele więcej, a w przypadku Federmanów wskazać film pokazujący ich historię, musiałem jednak uwzględnić ograniczoną objętość tekstu oraz wielowątkowość poruszanej w nim problematyki. W odniesieniu do rodziny Koniecznych ośmieliłem się cytować relację, z której wynika, że niektórzy przechowywani przez nich Żydzi płacili za utrzymanie. Zdaniem recenzenta „zapomniałem” natomiast napisać o przyznaniu Koniecznym Medalu Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Moja „podłość” jest tym większa, że jako redaktor polskiej wersji *Księgi Sprawiedliwych* dobrze o tym wiedziałem. Wniosek recenzenta w tych okolicznościach mógł być tylko jeden: jest to „dążenie do stworzenia nieistniejącego obrazu”. I oszukiwanie czytelnika (s. 55). W moim przekonaniu zarzut jest absurdalny, lecz zrozumiałą przy potrzebie piętnowania autora. Cieszę się natomiast z przypomnienia mojej roli w wydaniu *Księgi Sprawiedliwych*. Rzecz jednak w tym, że we wnioskach o przyznanie medalu ze względu na obowiązujące kryteria pomija się pewne kwestie, które po latach dla ocalałych nie mają już znaczenia. Żeby sprawa była jasna: z mojego punktu widzenia płacenie za swoje utrzymanie, nawet wysokich sum, nie stanowi problemu.

\*\*\*

Na czym zatem polega „korekta” dokonana przez Domańskiego? Wspomniałem już, że jego uwagi dotyczyły tylko fragmentów tekstu i nie odniósł się do zasadniczej części moich ustaleń, natomiast na podstawie pojedynczych uwag zdeprecjonował cały tekst. Dowiodłem,

że zarzuty natury generalnej (dotyczące „samodzielności” policji granatowej i Służby Budowlanej czy pomniejszania roli Niemców) nie mają żadnych podstaw. Podobnie jest w wypadku kilku zarzutów dotyczących interpretacji powojennych materiałów sądowych. Wykazał natomiast, że w kilku przypadkach nie oddałem dokładnie treści źródła, nadmiernie streszczałem albo byłem mało precyzyjny, albo wreszcie pojedynczych przypadkach nie ustrzegłem się lapsusów. Nie podałem, że w Miechowie Żydów z piwnic wyprowadzali Niemcy, a kilku Polaków okazało ofiarom współczucie. Sałabun na pewno pomógł Zielskiemu, nie zaś „podobno”, a pewna dziewczynka, mimo że miała się gdzie podziać, wróciła do rodziców. Na rewizji u Kisiela mogło nie być policjantów granatowych, natomiast Magda Koziół przez kilka miesięcy bezinteresownie pomagała dwóm Żydom z Działoszyc, z kolei odnalezienie trojga Żydów w okolicach Skały poprzedził napad rabunkowy na wójta. Chaim Wolgelernter pisał w swym dzienniku bardzo krytycznie o policji żydowskiej w kontekście pierwszej akcji likwidacyjnej i bardzo pochlebnie o postawach ludności wiejskiej pod Działoszycami. Najważniejszy zarzut dotyczy parokrotnego pominięcia wzmianek o udziale nielicznych funkcjonariuszy policji żydowskiej w akcjach wysiedleńczych. Jak rozumiem, z punktu widzenia recenzenta jest to sprawa o kluczowym znaczeniu dla zrozumienia mechanizmu zagłady. Uzupełnił też mój tekst o wiele szczegółów dotyczących kilku przypadków ratowania (wyłącznie na podstawie wykorzystywanych przeze mnie źródeł), a także o szczegóły (również na podstawie opisów bibliograficznych z mojego tekstu) działań antyżydowskich z udziałem Polaków. W kilku przypadkach podałem własne interpretacje przebiegu zdarzeń. I to wszystko. Recenzje służą zwykle wytknięciu takich czy innych uchybień, rzadko natomiast przypisuje się z tego powodu autorom celowe zakłamywanie historii. Dla Domańskiego jednak to właśnie było najważniejsze.

Wszystkie uwagi i sugestie uwzględnię podczas prac nad rozszerzoną wersją tekstu, nieścisłości i pomyłki zaś skoryguję. Nieco dokładniej należy się przyjrzeć nie tylko postawom funkcjonariuszy policji żydowskiej w niewielkich w skupiskach w dniach wysiedlenia, lecz także prowincjonalnych judenratów oraz strategii przetrwania za cenę kolaboracji – temat ważny, o czym recenzent nie wspomniał. Osobny rozdział mojej rozszerzonej publikacji zamierzałem i tak poświęcić analizie procesów oraz wyroków sądów powszechnych. Nieporozumienia zasygnalizowane przez autora *Korekty obrazu?* upewniają mnie co do jej konieczności. Tylko wtedy będzie można przedstawić wszelkie zawiłości wszystkich opisywanych spraw. Konieczne będzie także przedstawienie w formie tabelarycznej wszystkich danych na ten temat. W tekście opublikowanym w tomie zbiorowym nie było na to miejsca.

Natomiast ogólna przydatność tej recenzji jest bardzo ograniczona. Domański ubolewa, że nie wspominałem o działaniach niemieckich grup podszywających się pod polskie podziemie w 1944 r. (s. 19). O tej sprawie sam pisał przy innej okazji. Znam te materiały świetnie, nie tylko zresztą z dokumentacji procesu Piotra Sałabuna, jednego z najważniejszych funkcjonariuszy policji granatowej na „moim” terenie, ale z dokumentacji niemieckiej przechowywanej w archiwum IPN, nie wiem tylko, jaki mają one związek z tematem mojego artykułu. Domański gani nas za pomijanie „świadectw innych uczestników zdarzeń”. Jakich? Na tym przykładzie zwrócę uwagę na problem natury ogólnej. Pracując nad charakterystyką sytuacji na terenie Kreis Miechów, przeprowadziłem bardzo szeroką

kwerendę, której całościowych rezultatów z braku miejsca nie wykorzystałem. Materiały te pochodzą ze Studium Polski Podziemnej w Londynie, z Archiwum Narodowego w Krakowie, Archiwum Państwowego w Kielcach, archiwum oddziału krakowskiego IPN oraz delegatury IPN w Kielcach (materiały byłej Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, a także materiały śledztw i procesów z dekretu „sierpniowego”). Recenzent do obrazu rzeczywistości historycznej na terenie powiatu miechowskiego nie wniósł niczego nowego. Nie wskazał na żadne pominięte źródło, a nawet korpus źródeł. Nie podał żadnego nowego przypadku pomocy ani tym bardziej żadnego przypadku mordu na Żydach. Nawet takiego dokonanego wyłącznie przez Niemców, choćby z terenu, którym się bezpośrednio się zajmował, czyli z Kielecczyzny. Jego rola ograniczyła się do skanowania mojego tekstu pod kątem uchybień. Sam, już po złożeniu tekstu do druku, znalazłem kilkanaście kolejnych przypadków zbrodni popełnionych na Żydach. Znaczną część w archiwum delegatury IPN w Kielcach.

Materiały z archiwum w Kielcach pozwalają również na rozstrzygnięcie niektórych wątpliwości zasygnalizowanych w moim tekście. Napisałem na przykład o przypuszczeniach dotyczących sprawców bestialskiego mordu we wsi Giebułtów koło Książa Wielkiego na początku maja 1944 r. Dziwię się, że recenzent zarzucający mnie oraz moim koleżankom i kolegom przemilczenia i manipulacje nie zweryfikował i uściślił moich podejrzeń na temat tożsamości zwyrodnialców strzelających z karabinów maszynowych do kobiet i dzieci. Jest to zaskakujące tym bardziej, że instytucja zatrudniająca Domańskiego wydała niedawno nową edycję wspomnień dowódcy oddziału, z którego rekrutowali się sprawcy. Nie musiał w tym celu czekać na podanie mu przeze mnie sygnatur (może zresztą sprawdzić, co w czytelnym zamawiałem), gdyż o sprawie tej można przeczytać w dwóch przynajmniej wydanych ostatnio publikacjach. Tutaj korekta jest tyleż niezbędna, co całkowicie nierealna. Nie od dziś wiadomo, że działalność polskich nacjonalistów w okresie niemieckiej okupacji i po wojnie znajduje się pod szczególną ochroną obecnego kierownictwa IPN. Doszło do tego, że w najnowszych publikacjach rozmywana jest odpowiedzialność za zbrodnię dokonaną 6 czerwca 1945 r. na ludności ukraińskiej wsi Wierzchowiny, mimo iż została ona wzorowo zrekonstruowana i opisana przez najbardziej kompetentnych badaczy, w tym tych pracujących w instytucji. Przykłady zamykania oczu na fakty i dostosowywania wykładni do pobożnych życzeń dotyczą kwestii zasadniczych. Wystarczy powiedzieć, że w tej samej publikacji, której autorzy relatywizują zbrodnię w Wierzchowinach, znajduje się rozdział o „akcji pomocy Żydom” ze strony „podziemia narodowego”. Natomiast o działaniach antyżydowskich nie ma tam ani słowa (Mariusz Bechta, Wojciech Jerzy Muszyński, *Przeciwko Pax Sovietica. Narodowe Zjednoczenie Wojskowe i struktury polityczne ruchu narodowego wobec reżimu komunistycznego 1944–1956*, Warszawa 2017). Nie jest to jedyny tego rodzaju przypadek. Papier jest cierpliwy, zniesie wszystko, ale co z wiarygodnością?

Pisałem już o pominięciu przez Domańskiego problematyki konspiracji. Pominięcie to recenzent uzasadnia następująco: „Obraz kreślony przez autorów jest z zasady stronniczy, daleki od faktograficznej rzetelności, obiektywizmu uwzględniającego różne proweniencje oddziałów, kontekst militarny i polityczny oraz kulisy zdarzeń. Nie podniesiono w recenzji tego zagadnienia, gdyż znacznie musiałoby to rozszerzyć i tak rozbudowany jej tekst” (s. 71). Jak sądzę, zdanie to odnosi się do mnie, gdyż na temat konspiracji pisałem najwięcej. Unik Domańskiego może wynikać z dwóch powodów: albo do tych spraw oddelegowano innego

eksperta i za jakiś czas poznam jego opinię, albo problem uznał za nazbyt skomplikowany, a może drażliwy. Inna sprawa, że recenzent jest niekonsekwentny: strofuje mnie za pominięcie czegoś, a sam robi to samo. Dziwi mnie to również dlatego, że jeden z niewielu opublikowanych przezeń tekstów dotyczących problematyki żydowskiej stanowił polemikę z artykułem autorstwa Joanny Tokarskiej-Bakir i Aliny Skibińskiej poświęconym antyżydowskim działaniom członków oddziału partyzanckiego „Wybranieccy” (Tomasz Domański, *Z historii oddziału „Wybranieckich”, czyli o wiarygodności materiałów śledczych i operacyjnych UB*, cz. 1, „Arcana” 2012, nr 106/107, s. 253–279, cz. 2, „Arcana” 2013, nr 109, s. 120–144).

Dziwię się na koniec lekkości, z jaką stawiany jest zarzut pomniejszania roli Niemców historykowi, który ma pod tym względem (analiza mechanizmów zagłady i roli sprawców) dorobek znacznie przewyższający osiągnięcia niejednego oddziału IPN w całej jego historii. Są to m.in.: tom źródeł *Obóz zagłady w Bełżcu w relacjach ocalałych i świadków*, wydawnictwo zbiorowe *Erntefest, 3–4 listopada 1943 r. Zapomniany epizod Zagłady czy wreszcie monografia pt. Zagłada Żydów w Generalnym Gubernatorstwie. Zarys problematyki* (2017). Oprócz tego byłem redaktorem naukowym polskiego wydania monumentalnego dzieła Raula Hilberga *Zagłada Żydów europejskich*, współautorem kilku wystaw, a także pakietu edukacyjnego (wydanego zresztą przez IPN).

Od kilku lat Tomasz Domański kieruje powstałym w IPN zespołem mającym się zajmować Zagładą i stosunkami polsko-żydowskimi. Z niecierpliwością czekam na efekty jego prac. Można opracować w sposób podobny do naszego albo w zupełnie inny jakąś jednostkę administracyjną, Kreis, przedwojenny powiat, można też opisać historię jakiegoś miasteczka. Przygotować nowe opracowanie dotyczące któregoś z opisanych przez nas powiatów z wykorzystaniem naszych źródeł i tych, które pominęliśmy. Przede wszystkim zaś oszacować na nowo skalę ucieczek, zweryfikować zamieszczone w naszej książce dane dotyczące ocalałych i zamordowanych. Zaprezentować wreszcie nowe interpretacje postaw ludności polskiej. Dopiero wówczas będzie można mówić o rzeczywistej korekcie. Umowność obecnej sugeruje zresztą znak zapytania w tytule.